

# Jack Getner



Komedia kryminalna z Jackiem Przypadkiem w roli głównej

## ŚMIERĆ TO ZDECYDOWANIE ZA MAŁO



**Przypadek**  
chodzi  
po ludziach...

ŚMIERĆ  
TO ZDECYDOWANIE  
ZA MAŁO



Jacek  
Getner

ŚMIERĆ  
TO ZDECYDOWANIE  
ZA MAŁO

L I R A  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2025

ISBN: 978-83-68342-77-2

## ROZDZIAŁ 1

# *Zbyt mocne uderzenie*

Luty poradził sobie już ze śniegiem i czekał na przekazanie pałeczki marcowi, zapowiadającemu się pogodnie. Lecz na razie niebo płakało rzewnymi łzami, jakby chciało mieć pewność, że żadna nędzna resztką białego puchu nie zostanie się na ziemi. Ewentualnie miało ochotę przeziębici uczestników ceremonii pogrzebowej, na której stawiało się mnóstwo osób. Zdecydowana większość z nich roniła wprawdzie również łzy, ale nie były to łzy smutku, lecz radości. Z tego świata schodził bowiem arcywróg wszystkich ludzi porządnych i na pewnym poziomie. Drań, jakich mało na tym świecie. Gnębiciel wszystkiego, co mądre, postępowe, właściwe i ogólnie akceptowane na salonach.

Detektyw Jacek Przypadek.

Przyszli tu popatrzeć, żeby upewnić się, że na pewno trafi do swojego grobu i nie wyskoczy w ostatniej chwili z trumny, obudziwszy się z jakiejś śpiączki. Zachowywali przy tym bezpieczną odległość od właściwego konduktu żałobnego, dlatego że najbliżej trumny

znajdowali się ci, którzy najmocniej opłakiwali zmarłego. A oni, ze swej natury, jako bezdomni zbieracze złomu, nie pachnieli najlepiej. Tym, którzy opłakiwali detektywa w sposób właściwy, nie robiło to różnicy, oni byli zajęci własnym smutkiem. Ale pozostali, znani dziennikarze, celebryci, osobowości telewizyjne, biznesmeni i tym podobni, zachowywali bezpieczny dystans od właściwego konduktu żałobnego.

— Właściwie po co my tu jesteśmy? — zapytał Bolko Szofłtysik. Znany showman, który nie przyjmował do wiadomości, że już skończył osiemnaście lat, choć złośliwcy twierdzili, że powinien składać papiery do ZUS-u w sprawie emerytury.

Celebryta, uznawany przez niektórych za dziennikarza, nie przejmował się jednak takimi hejterami. Pomagała mu w tym pamięć, która, dzięki środkom wspomagającym dobre samopoczucie, składała się głównie z dziur. Dlatego Bolko z czystym sumieniem mógł twierdzić, że nie pamięta więcej niż osiemnastu lat swego życia. A w zasadzie dużo mniej.

— Żeby wiedzieć, że go na pewno pochowają — wyjaśnił mu Bartosz Fifka, dziennikarz znany ze swoich pełnych taktu wywiadów, w których nie zadawał gościom kłopotliwych pytań, za co był bardzo ceniony przez luminarzy polskiej kultury.

— W sumie tak — przyznał Szoltyśnik. — Ja to go nawet chyba lubiłem. Tak mi się zdaje. On nam pomógł, nie? — zwrócił się do Fifki.

— Nie pomógł, tylko nas wykorzystał. A na dodatek próbował ukraść panu Klempuchowi jego jacht, z którego sprzedaży pieniądze miały być przeznaczone na zabawki dla dzieci.

— A to drań — oburzył się Szoltyśnik. — Ale mu się nie udało?

— Przecież jesteśmy na jego pogrzebie — Fifka pokręcił zdegustowany głową. — Karma do niego wróciła i skończył tam, gdzie powinien.

— A uprzedzałem go. — Do rozmowy włączył się wróż Bogdan, najsłynniejszy tarocista w tym kraju. — Nie chciał mnie słuchać. Karty nie kłamały, mówiąc, że zginie pod pokładem statku w trakcie burzy na morzu.

— Na pewno tak nie było — prychnął pogardliwie mężczyzna ubrany cały na czarno, z diabolicznym wąsikiem. Jego twarz nie była tak znana jak pozostałej trójki, ale wiele znaczących osób odwiedzało jego dyskretny gabinecik, w którym przyjmował klientów pragnących pogadać ze zmarłymi. Był to bowiem Cristoff, najbardziej znaczące medium w Polsce. — Rozmawiałem z nim wczoraj...

— Znaczy Klempuchem? — zapytał zdezorientowany Fifka.

— Znaczy z Przypadkiem. Specjalnie ściągnąłem go z zaświatów, żeby zapytać, jak to dokładnie było. I wiem, że po prostu się utopił, bo skoczył do morza za odpływającym jachtem.

— Przecież go znaleźli na tym jachcie — zaprotestowała dziennikarka z Ekstra TV przysłuchująca się rozmowie.

— To tylko oficjalna wersja — zapewnił Cristoff. — Jeśli chcecie poznać prawdziwe szczegóły jego śmierci, zapraszam do mojego gabinetu, tysiąc złotych za każde pięć minut bezpośredniego połączenia z nieboszczykiem.

— Nie po to się go pozbyliśmy, żeby z nim gadać. — Pracownica Ekstra TV się wzdrygnęła.

— Właśnie, właśnie — potwierdził wróż Bogdan, który nie chciał, aby jego paranormalna konkurencja uzyskała przewagę.

— Zawsze warto wiedzieć więcej — upierał się Cristoff. — Przecież on z taką ciężką kasą uciekał, może gdzieś coś po drodze ukrył — kusił klientów.

— Nieważne jak, istotne, że nie żyje, a zgubiła go nieuleczalna chciwość — zawyrokował Bartosz Fifka. — Na szczęście nie będziemy już musieli więcej się nim przejmować i do życia wróci normalność. No

i będzie tak, jak było, zanim się pojawił, czyli uczciwi ludzie na poważnych stanowiskach nie będą się musieli przejmować, że ktoś ich bezpodstawnie oskarży... Co się tak rozglądasz? — zapytał Szołtysika.

— Myślałem, że Klempuch też tu wpadnie.

— Nie, on jeszcze jest podobno w szpitalu po tych tragicznych wydarzeniach na molo. Ale pewnie za parę dni wyjdzie stamtąd. A jak już tutaj wróci, to tu będzie normalnie raj — rozmarzył się Fifka. — Będą szanowani ci, którzy powinni być szanowani, i nikt im niczego nie zarzuci, choćby i kogoś normalnie zamordowali...

\* \* \*

Niemal trzy miesiące przed tą dla niektórych smutną, a dla innych radosną uroczystością profesorostwo Suchowierscy wyszli na spacer nad Wisłę. Pogoda nie sprzyjała wprawdzie takiej wyprawie, bo mżył deszcz ze śniegiem ale, jak to mówią, cel uświęcał środki. A cel był niezwykle ważki. W trakcie, kiedy starsze małżeństwo spacerowało po parku czy nadwiślańskich bulwarach, w ich mieszkaniu wnuk ćwiczył granie na perkusji.

Suchowierscy nie byli fanami muzyki, którą uprawiał. Kiedy był mały i odwiedzali jeszcze swoją córkę,

to przeszkadzało im, że za ścianą wali na swoim bębnie, i wzruszeniem ramion kwitowali deklarację młodego człowieka, że w przyszłości zostanie słynnym perkusistą. Ale kilka lat temu Kamila się rozwiodła, musiała sprzedać mieszkanie i przenieść się z dwójką synów do mniejszego lokum. A tam już nie było miejsca na instrument Plumpusia, jak był pieszczotliwie nazywany przez rodzinę młody pasjonat tłuczenia w bęben.

Niestety nie mógł też chodzić dłużej do szkoły muzycznej, a na studia do akademii się nie dostał. Do tego Kamila miała stany depresyjne, często bywała na zwolnieniach, dlatego nie mogła znieść syna grającego w domu. Jeden z jej terapeutów twierdził nawet, że część jej problemów może być wywołana wibracjami z perkusji elektrycznej należącej do syna. Profesorostwo Suchowierscy zaproponowali więc, że Plumpuś przez niedługi czas mógłby korzystać z ich mieszkania, wyjeżdżali bowiem na dwa miesiące wakacji do domku w górach, należącego do znajomych profesorów z Krakowa. Po powrocie mieli zamiar zaraz pozbyć się wnuka i liczyć, że do kolejnego ich wyjazdu granie na perkusji wywietrzeje mu ostatecznie z głowy i nie będzie problemu.

Ale wieczorem, tego samego dnia, gdy przyjechali do Warszawy, usłyszeli dzwonek do drzwi. Kiedy je

otworzyli, stała tam delegacja sąsiadów, obdarzonych również częściowo tytułami naukowymi, a w tej chwili także groźnymi minami. Na przedzie stał profesor Maślaczek, biolog, mieszkający po lewej za ścianą, i to on zabrał głos w imieniu zgromadzonych:

— Chcielibyśmy stanowczo zaprotestować!

— Ale... O co chodzi?

— O tego łobuza, który co dzień trzepie mi dywan nad głową! — warknęła wojowniczo Dukacka, drobna blondynka, trzydziestolatka, mieszkająca piętro niżej. Ona jedna w tym towarzystwie nie miała żadnego tytułu naukowego, pracowała w dużej korporacji, a mieszkania nie odziedziczyła, tylko się na nie zadłużyła.

— Jaki dywan? O co państwu chodzi? — zdziwiła się profesor Glut-Suchowierska, prawnik konstytucjonalista.

— O tego wariata, który wali na tym swoim bębnie dzień w dzień po pięć, sześć godzin! — denerwował się profesor Bucholz, psychiatra, mieszkający za ścianą po prawej. — Nie można go uspokoić w żaden sposób.

— Niemożliwe, żeby państwu to przeszkadzało. — Profesor Leon Suchowierski, specjalista nauk politycznych, zorientował się, w czym rzecz. — Nasz wnuk gra na perkusji elektrycznej, ma membrany tłumiące dźwięk...

— I dlatego właśnie przypomina to trzepanie dywanu! — zirytowała się profesor Chwała, muzykolog mieszkająca nad Suchowierskimi. — On potrafi przez pół godziny, bez sekundy przerwy, walić w ten bęben z częstotliwością stu uderzeń na minutę! Czy on w ogóle kiedykolwiek zagrał choć kilka nut?!

Profesor Suchowierski spojrział na profesor Glut-Suchowierską i jakby zrozumieli się w jednej chwili.

— Bardzo nam przykro, że państwu to przeszkadza — odpowiedziała prawniczka. — Ale wnuk musi ćwiczyć, bo jest w przededniu wielkiej kariery muzycznej. Dopóki nie narusza ciszy nocnej, nie mogą mu tego państwo zabronić.

— Do widzenia — dorzucił jej mąż, zamykając sąsiadom drzwi przed nosem.

Od tego dnia Plumpuś bywał u dziadków regularnie, szczególnie popołudniami i wieczorami, kiedy już wszędzie paliły się światła. Wtedy profesorstwo Suchowierscy znajdowali jakiś dobry pretekst do opuszczenia domu, umawiali się ze znajomymi, wybierali się do teatru bądź kina, choć najczęściej wychodzili na długi spacer, jak dziś.

— Wyobrażasz sobie, jak Bucholzowi rośnie gula? — zapytała radośnie Glut-Suchowierska.

— Dobrze mu, draniowi — odpowiedział bezlistośnie Suchowierski. — Trzy lata prosiłem, żeby nie

zajmował tego miejsca do parkowania, bo tylko tam widzę swój samochód z okna. Ale nie, cwaniak musiał tam stawać, chociaż ma chody na policji i jakby ukradli mu jego auto, toby się szybko znalazło.

— Dokładnie tak. A Dukacka znów pewnie nie może uśpić swoich bachorów.

— Ciekawe, czy nie będzie miała trzeciego, bo miesiąc temu wyprowadził się od niej ten rudy, co przez pół roku mieszkał z nią. — Politolog uśmiechnął się z satysfakcją. — A ojcowie tych dwóch poprzednich zwiewali od niej, jak się tylko zorientowali, że jest w ciąży.

— Dobrze jej tak. Jak się ją prosiło, żeby uspokoiła te bachory i żeby nam całe noce nie ryczały, to bezczelnie odpowiadała, że to tylko dzieci i mają prawo płakać!

— A Chwała z Maślaczkim też są na pewno wściekli...

— Wiesz, niekoniecznie — powiedziała zamyślona Suchowierska. — Ostatnio Chwała powiedziała mi „dzień dobry”. Pierwszy raz od ponad dwóch lat, jak Plumpus ćwiczy. I tak się dziwnie uśmiechała.

— Ona zawsze był dziwaczka, całe życie była bez chłopa... — powiedział Suchowierski, ale ściągnął usta, bo jemu również przypomniał się jakiś niepokojący fakt. — A wiesz, faktycznie ostatnio widziałem

Bucholza z Maślaczkim i miałem wrażenie, że śmieją się za moimi plecami.

— Chodźmy już, trochę zmarzłam — przyznała Glut-Suchowierska i ruszyli w drogę powrotną.

Pięć minut potem byli już pod kamienicą. Światła w ich mieszkaniu się paliły, choć nie było słyhać, żeby Plumpuś ćwiczył. Ale okna były szczelnie zamknięte i rzadko wtedy było słyhać uderzenia w bęben aż na ulicy. To, że nie było ich słyhać również na schodach, trochę ich już jednak zaniepokoiło. Wprawdzie faktycznie perkusja, z której korzystał ich wnuk, była elektryczna, nie powodowała hałasu zbliżonego do swej akustycznej wersji i mogła przeszkadzać głównie tym, z którymi bezpośrednio sąsadowali, lecz z pewnością dawało się ją usłyszeć na klatce piętro niżej, szczególnie gdy ich wnuk walił na całego.

Tknięta złym przeczuciem Glut-Suchowierska włożyła klucz do zamka i otworzyła drzwi. Profesorska para weszła do swego mieszkania, uważnie rozglądając się po wnętrzu, w którym były zapalone wszystkie światła, ale nie było słyhać żadnego śladu życia. Weszli do pokoju, gdzie stała perkusja ich wnuka, lecz nie było tam ani jej, ani jego.

Suchowierscy spojrzeli na siebie zaniepokojeni i niemal równocześnie wykrzyknęli:

— Porwali Plumpusia!

Malwina Żarska od chwili powrotu z dwutygodniowego, świąteczno-noworocznego wyjazdu na narty ze znajomymi nie poznawała swojego sąsiada spod dwunastki, detektywa Jacka Przypadka. Tuż przed tym, kiedy się z nim pożegnała, wydawało jej się, że coraz bardziej się do siebie zbliżają i właściwie niewiele brakuje, żeby przyznał, że czuje do niej coś więcej. A o tym, że tak jest, były przekonane słynna wróżka Jowisza oraz Katarzyna Sowianka, córka właściciela Ekstra TV, Gerharda Sowy. Ba, były tego nawet pewne dwie upiorne sąsiadki spod czternastki, Zygryda i Teodora, które jej nie cierpiały i żyły w przekonaniu, że jest agentem Wiktora Klempucha.

Jej samej wprawdzie trudno było dostrzec ze strony Przypadka jakieś szczególne uczucie, ale zapewniał ją o swojej wielkiej sympatii, cieszył się, że są poniekąd współnikami w byciu detektywami. Nawet tydzień przed świętami zabrał ją do restauracji na kolację, która od biedy mogła uchodzić za randkę.

A teraz witał się z nią chłodno, niejako w przelocie. Nie wpadał do niej wieczorem pod trzynastkę, jak miał to wcześniej w zwyczaju. Nie bywał też chyba pod czternastką u pani Irminy Bamber, która wróciła w Wigilię Bożego Narodzenia z podróży dookoła

świata. Odbyla ją razem ze swoim adoratorem, antykwariuszem Gelbergiem. Miało to wprawdzie ten dobry skutek, że jej kuzynki, Zygryda i Teodora, przeprowadziły się z powrotem do siebie, do Poznania. Ale ona też nie była jakaś przesadnie przyjaźnie nastawiona, choć nie oskarżała jej o współpracę z arcywrogiem Jacka.

On sam zaś spędzał wieczory w swoim mieszkaniu, a dnie, ponownie dużo biegając, jak to miał kiedyś w zwyczaju. Potem, gdy Malwina odnalazła w Himalajach jego byłą narzeczoną, Basię, przerzucił się na rower. Ale teraz porzucił dwa kółka i wrócił do przemieszczania się na dwóch nogach, co wydało jej się nader niepokojące...

Nie, nie okazywał jej wrogości. Ale czuła, że coś się wyraźnie zmieniło, i to nie tak, jak na to liczyła. Organizując ten wyjazd na narty, za radą wróżki Jowiszy, miała nadzieję, że jej nieobecność będzie katalizatorem, który spowoduje, że Jacek otworzy się na nią. A tymczasem wydawało się, że zamknął się jeszcze bardziej.

„Co się mogło stać? — zastanawiała się Malwina. — Kaśka Sowa ręczyła mi, że Jacek bardzo kocha kogoś, kto na pewno żyje. To samo Jowisza. No dobra, wiem, że to wróżka, ale też kobieta, która potrafi wyczuć takie rzeczy. Czyli nie chodzi na pewno o Basię, bo

ona zginęła prawie dziesięć lat temu w Himalajach. Ani o Małgosię Urbanek, bo ona także nie żyje już ponad rok. Może powinnam porozmawiać z Jowiszą? W końcu to ona doradziła mi ten wyjazd... Ale nie, co ona mogłaby mi powiedzieć więcej? Wyprowadziłam się od Jacka. A ona sama mówiła, że te jej przepowiednie to zwykle takie nieostre są. To może Kaśka Sowa? To jest konkretna babka. Tylko mówią, że wyjechała do Stanów, niby stażować w CNN, ale nie ma z nią żadnego kontaktu... Z żadną inną też się nie spotyka i na pewno nie ma kontaktu... O co tu chodzi?"

Oczywiście najprostszym sposobem dowiedzenia się, o co tu chodzi, byłoby zapewne zapytanie samego Jacka Przypadka, ale to raczej nie wchodziło w grę. Zresztą, co on mógłby jej odpowiedzieć? Ukrywałby się raczej za żartami i pójśłówkami. Chyba żeby przyznała, że naprawdę zgodziła się na współpracę z Klempuchem, i wyjaśniła, dlaczego to zrobiła. Ale nie, tego mógłby jej nie wybaczyć i...

W zasadzie nie było tego „i”, bo cóż więcej mógłby zrobić? Jej zależało tylko na jednym. Na nim. Już chyba wolałaby, żeby jej nienawidził, niż mówił, że nie może jej pokochać i niech po prostu zostaną przyjaciółmi. Przynajmniej wtedy nie miałyby wątpliwości, że łączy ich silne uczucie. O takim samym wektorze, choć przeciwnych kierunkach.

Na razie jednak bała się, że odmówi przyjęcia kolejnej sprawy, którą dla niego miała. A bardzo chciała, żeby ją wziął. To by dało jej możliwość częstszych rozmów z nim, być może mogłaby wyczuć, co się stało, co jest nie tak. Tylko musi zdobyć się na odwagę i powiedzieć mu o tej sprawie. W jakimś dogodnym momencie, kiedy będzie miał lepszy humor. Na przykład, wracając z biegania. Wtedy wydaje się bardziej szczęśliwy...

Kiedy zobaczyła go przez okno u wylotu ulicy Koneckiej, podeszła do drzwi wyjściowych i czekała na moment, gdy usłyszy, że już wbiega po schodach. Zawahała się, czy nacisnąć klamkę, ale w końcu się na to zdobyła. Gdy jednak stanęła na korytarzu, to zaniemówiła na dłuższą chwilę.

— Kim jest nasz nowy klient?

To pytanie Przypadka mogło w teorii zaskoczyć Żarską. Ale nie, nie zaskoczyło jej, bo wiedziała, że jej sąsiad swoje relacje z innymi układa według zasady: „ludzie są banalnie przewidywalni”. Jak większość innych osób nie lubiła tego, ale teraz mogła tylko odetchnąć z ulgą, że swoją domyślnością wybawił ją z kłopotliwej sytuacji.

— Państwo Suchowierscy, małżeństwo profesorów politologii i prawa — odpowiedziała Malwina. — Twierdzą, że sąsiedzi porwali ich wnuka.

— Interesujące. A co na to policja? — zapytał Przypadek, rozciągając się na korytarzu po biegu.

— Matka twierdzi, że nikt go nie porwał, tylko wyjechał za granicę rozwijać swój talent muzyczny. A ponieważ brak materialnych dowodów na porwanie, to policja nie wszczyna śledztwa.

— Robi się jeszcze ciekawej. Rozumiem, że państwo profesorostwo znają moje stawki?

— Tak. Wkrótce profesor Suchowierski wyjeżdża na letni semestr do Stanów i jest gotów przeznaczyć całe swoje honorarium, byleby tylko wnuk się odnalazł.

— Cóż za wzruszający dowód miłości. — Przypadek uśmiechnął się ironicznie, wyjmując z kieszonki bluzy klucz do domu.

— Tam jest coś więcej, ale to najlepiej wyjaśnią ci oni sami.

— Okej, umów mnie z nimi. — Detektyw przekreślił klucz w zamku.

— Jacek...

— Tak?

— Ja... — urwała, ale wiedziała, że musi dokończyć. Teraz albo nigdy. — Chciałam zapytać, czy wszystko w porządku.

— A dlaczego miałyby nie być w porządku?

— Od czasu, jak wróciłam... jesteś jakby inny...

Przypadek w pierwszej chwili miał ochotę odpowiedzieć jakimś żartem. Zbyć Malwinę i nie tłumaczyć się jej z niczego. Ale czuł, że nie może dłużej jej oszukiwać, choć na razie jeszcze nie może powiedzieć jej całej prawdy.

— W trakcie twojego wyjazdu wiele się zmieniło.

— To znaczy?

— Kiedyś ci to opowiem — odpowiedział półgłosem, a jeszcze ciszej pomyślał: „O ile zdążę”.

\* \* \*

Profesor Maślaczek wracał radośnie do domu po zakończonych egzaminach zerowych. Był dziś nadzwyczaj łaskawy dla swoich studentów, szczególnie że pierwsi do zaliczenia jego przedmiotu rwali się ci, którzy mieli najwięcej pojęcia o faunie europejskiej. Dlatego wszystkie sześć osób dostało piątki w indeksach i miało równie udany dzień jak profesor.

Maślaczek miał w zasadzie same takie dni od chwili, kiedy Plumpuś zniknął z ich kamienicy. Wprawdzie profesorostwo Suchowierscy patrzyli krzywo na swoich sąsiadów, ale kto by się tym przejmował? Kiedy już można nie drzeć ze strachu, że twoje cztery ściany wypełni rytmiczne łupanie, które najdalej po pięciu minutach przyprawi cię o ból głowy?